

Anatomia patologiczna dorobku naukowego

Jan H. Goch¹, Krzysztof W. Zieliński²

¹ Klinika Kardiologii, Uniwersytet Medyczny, Łódź

² Zakład Patomorfologii i Cytopatologii Klinicznej, Uniwersytet Medyczny, Łódź

Wprowadzenie

Praca naukowa jest szczególnym rodzajem twórczej działalności człowieka, odgrywa też wyjątkową rolę w rozwoju ludzkości. Jednak jej charakterystyczną cechą jest to, że niechętnie poddaje się rygorom typowym dla organizacji pracy innych rodzajów. Niezmiernie trudno ją precyzyjnie zaplanować, nie da się jej także wykonać na rozkaz. Niełatwo też ustalić, kto i w jakim zakresie przyczynił się do powstania dzieła naukowego, gdyż każde kolejne dzieło czerpie z osiągnięć poprzedników. Pewne zasady nie powinny jednak budzić wątpliwości. Do wypowiedzi naukowej zdolny i uprawniony jest tylko ten, kto zna doskonale osiągnięcia uprawianej dyscypliny, zna i umie się posługiwać metodami przez nią wykorzystywanymi. Pożądane jest przy tym, aby w wypadku medycyny klinicznej osoba ta nie uprawiała swej dziedziny li tylko teoretycznie, lecz by miała w jej zakresie dostateczną przynajmniej praktykę.

W czasach, gdy badania naukowe prowadzone były przez pasjonatów poszukujących odpowiedzi na frapujące ludzkość pytania, powstał system kształcenia badaczy na zasadzie znanej w feudalnym rzemiośle: mistrz – uczeń. W systemie tym dysponujący już umiejętnościami, wiedzą i doświadczeniem mistrz nadzorował i kierował rozwojem swego ucznia aż do momentu wyzwolenia – gdy uznał go za zdolnego do samodzielnej pracy. Kiedy nauka zaczęła podlegać znaczącym wpływom państwowej biurokracji, sformalizowane zostały procedury osiągania poszczególnych stopni wtajemniczenia naukowego: doktorat – majstersztyk, mający dowiedzieć, że jego twórca opanował wiedzę z uprawianej dyscypliny i potrafi prowadzić badania naukowe, oraz stopień wyższy – którego osiągnięcie możliwe jest po wykazaniu przez badacza, że dysponuje już pełnią naukowej samodzielności i można mu powierzyć kształcenie następców. Poczucie misji, odpowiedzialności za ustalane prawdy, świadomość konsekwencji dokonywanych odkryć lub popełnianych błędów, zapewniało *sui generis* dobór naturalny kadry, spychając na całkowity margines ludzi nieuczciwych, niekompetentnych, szarlatanów.

Kiedy jednak nauka zaczęła otwierać drogę do kariery (także politycznej) i do znaczących środków materialnych, pokusa sięgnięcia po zaszczyty i pieniądze przez miernoty wymusiła próby definiowania czegoś, co dotąd było oczywiste. Stąd m.in. pojawiają się rozstrzygnięcia rozmaitych gremiów precyzujące zasady ustalania autorstwa, a także współautorstwa, czyli przypisania sobie praw do uzyskiwania korzyści z pracy naukowej.

Nieuczciwość naukowa w polskich uczelniach i instytucjach naukowych – podobnie jak to się dzieje na świecie – jest tematem wstydlivym, o którym niechętnie wypowiadają się publicznie osoby zatrudnione w tych placówkach, mimo że są one częstym tematem nieoficjalnych rozmów i dyskusji. W Polsce problem ten przedostał się do „publicznego obiegu” w 1997 r. za sprawą plagiatów dokonywanych przez dr. hab. Andrzeja Jędrzyckę ze Śląskiej Akademii Medycznej, a rok później po nagłośnieniu przez media plagiatu dokonanego przez ówczesnego pośła Andrzeja Anusza przy pisaniu jego pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Od 2000 r. dr Marek Wroński zaczął publikować na łamach *Forum Akademickiego* serię felietonów i analiz dotyczących rozmaitych niechlubnych przypadków, w cyklu pt. „Z archiwum nieuczciwości naukowej”. Kolejną głośną sprawą, która przetoczyła się przez ogólnopolskie media, była „fabryka doktoratów” dr. hab. Mirosława Janiszewskiego, byłego profesora nadzwyczajnego UM w Łodzi (oraz kilku innych uczelni). Okazało się, że masowo tworzone rozprawy doktorskie, których był promotorem, co najmniej w kilku wypadkach są plagiatami. Sprawa ta spotkała się z jednoznacznie reakcją władz Uniwersytetu Medycznego i została zakończona pozbawieniem stopni naukowych i rozwiązaniem umowy o pracę w UM w Łodzi.

Sprawa, którą dalej będziemy poruszać – powszechnie znana jako „dopisywanie autorów” w pracach naukowych – jest problemem znanym w środowisku naukowym i niestety (zwłaszcza w dziedzinach medycznych) powszechnie tolerowanym. W dziedzinach medycznych ma ona swoje korzenie w nadużywaniu argumentu o interdyscyplinarności badań. Ten rodzaj nieuczciwości naukowej nie jest tak rozpoznawalny jak ordynarny plagiat, choć w naszym odczuciu jest zjawiskiem nieporównanie powszechniejszym.

Problem ten został zauważony w wielu krajach o wysokim poziomie nauki, w dużych organizacjach badawczych i akademickich oraz w redakcjach poważnych periodyków naukowych. Zagadnieniu nierzetelności naukowej i nieetycznych działań w obszarze nauki poświęcono także wiele książek (jedną z lepiej znanych, przetłumaczonych także na język polski, jest opracowanie Aleksandra Kohna pt. „Fałszywi prorocy. Oszustwo i błąd w nauce i medycynie”. Wydawnictwo PWN, Warszawa 1996). O randze problemu świadczy także fakt, że w Stanach Zjednoczonych – kraju mającym współcześnie największy wkład w naukę światową – jest powołane specjalne ciało federalne, pod nazwą Biuro Uczciwości Badawczej (*Office of Research Integrity, ORI*), działające w obrębie amerykańskiego Departamentu Zdrowia (*U.S. Department of Health and Human Services*). Biuro to monitoruje uczciwość prowadzenia badań biomedycznych i behawioralnych sponsorowanych przez rząd amerykański w Stanach Zjednoczonych oraz na całym świecie. Wykryte i udokumentowane przypadki nieuczciwości naukowej są omawiane i analizowane (z podaniem nazwisk) w corocznym raporcie oraz wiadomościach ORI (*ORI Annual Report* – od 1994 r. i *ORI Newsletter* – od 1993 r.), w specjalnych wydawnictwach i wytycznych, osiągalnych na stronie internetowej ORI (<http://ori.hhs.gov>) oraz mają różnorakie konsekwencje dla sprawców i instytucji, w których miały one miejsce (przede wszystkim natury finansowej i administracyjnej). O ile w Stanach Zjednoczonych sprawy nierzetelności naukowej są wykrywane przez instytucje naukowe, o tyle w niektórych krajach (np. w Danii) – są badane przez instytucje państwowe oraz są regulowane zapisami prawnymi obowiązującymi na ich terenie.

Zgodnie z definicją przyjętą przez ORI i z niewielkimi zmianami przeniesioną także na grunt polski („Dobra praktyka badań naukowych. Rekomendacje”. – Zespół Etyki w Nauce przy Ministrze Nauki, 25 maja 2004) (http://www.nauka.gov.pl/mein/_gallery/20/15/20151/dobra_praktyka.pdf): *Nierzetelność w nauce (ang. scientific misconduct) są to występki przeciwko etyce w nauce polegające na zmyślaniu, fałszowaniu lub plagiatorstwie przy aplikowaniu o fundusze, przy prowadzeniu i recenzowaniu badań naukowych lub też prezentowaniu ich wyników*. Wyróżnia się trzy podstawowe rodzaje tej nierzetelności, a mianowicie:

- *zmyślanie* – polega na preparowaniu, rejestrowaniu i publikowaniu wyników nieuzyskanych;
- *fałszowanie* – polega na manipulacji materiałem badawczym, wyposażeniem lub metodą oraz na zmienianiu lub pomijaniu danych doświadczalnych w ten sposób, że wyniki badań nie zostają prawdziwie przedstawione w raportach;
- *plagiatorstwo (ang. plagiarism)* – polega na przywłaszczeniu cudzych idei, metod, wyników lub określeń bez

właściwego odniesienia. Plagiatem jest także nieautoryzowane wykorzystanie informacji uzyskanych w trakcie poufnego recenzowania wniosków i rękopisów.

„Dopisywanie się autorów” mieści się w tej ostatniej kategorii występów. Nieuprawnione dopisanie siebie jako współautora do publikacji jest niczym innym jak nieuprawnionym wykorzystaniem „idei, metod lub określeń” pozostałych współautorów danej pracy naukowej. Zauważmy przy tym, że podana wyżej definicja plagiatorstwa różni się istotnie od kodeksowego zapisu obowiązującego w polskim prawie, że *ochroną objęty może być wyłącznie sposób wyrażenia; nie są objęte ochroną odkrycia, idee, procedury, metody i zasady działania oraz koncepcje matematyczne* (art. 1 ust. 2 Ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych – Dz. U. z 2006 r. Nr 90, poz. 631). Zatem jeśli ktoś nie przepíše literalnie fragmentu czyjejś pracy i nie opublikuje jej pod swoim nazwiskiem, jest z punktu widzenia prawa bezkarny (nie mówiąc o bardziej „wyszukanych” nadużyciach, jak przywłaszczenie sobie samej idei, pomysłów lub baz danych, autoplagiaty, nieuprawnione współautorstwo, plagiat „odwrócony”, czyli fabrykowanie prac pod cudzym nazwiskiem itp.). Jedyną drogą prawną dochodzenia swoich praw wobec nieetycznego naukowca jest wykazanie naruszenia praw osobistych lub poniesionych szkód na drodze cywilnoprawnej. Dodajmy nadto, że w polskim ustawodawstwie nie funkcjonuje pojęcie „plagiatu” jako kategorii prawnej (choć ma swój opis w doktrynie prawnej). Słowo to jest określeniem potocznym, dotyczącym ochrony praw autorskich.

Podobne problemy występują w systemach prawnych innych krajów. Są one dyskutowane w ogólniejszym kontekście ochrony własności intelektualnej, wymagającej bardziej dogłębnej analizy przypadków jej naruszeń, niż ma to miejsce w wypadku prostego skopiowania cudzego utworu. Dlatego też właściwe wydaje się piętnowanie w środowisku zachowań nieetycznych i rozpoczęcie dyskusji nad ograniczeniem tego typu zachowań, często będących fundamentem nieusprawiedliwionych karier.

W wytycznych Międzynarodowego Komitetu Wydawców Czasopism Medycznych (ang. *Uniform Requirements for Manuscripts Submitted to Biomedical Journals by International Committee of Medical Journal Editors*) [1] jasno i wyraźnie ustalono, że:

Autorstwo pracy opiera się na udziale w:

- a) *stworzeniu założeń ogólnych i projektu badań oraz przeprowadzeniu analizy i interpretacji danych,*
- b) *pisanii artykułu lub w krytycznej ocenie najważniejszych tez w nim zawartych,*
- c) *zatwierdzeniu ostatecznej wersji do publikacji.*

Dla uniknięcia wątpliwości trzeba podkreślić, że dla wykazania autorstwa (współautorstwa) spełniać trzeba

równocześnie wszystkie trzy warunki, a udział jedynie w uzyskiwaniu czy zbieraniu danych nie wyczerpuje definicji autorstwa. Również niewystarczające jest nadzorowanie zespołu badawczego.

Zespół Etyki w Nauce przy Ministrze Nauki wymienia także negatywne przesłanki wykluczające autorstwo (współautorstwo) we wspomnianym już dokumencie z 25 maja 2004 r. pt. „Dobra praktyka badań naukowych. Rekomendacje”, który przyjmuje podobną do przywołanej definicję autorstwa, wyraźnie przy tym zastrzegając: *Współautorstwa honorowe są niedopuszczalne. Nie stanowią tytułu do współautorstwa tak skądinąd ważne dla pracy naukowej działania jak pozyskiwanie funduszy, dostarczenie materiałów, wykształcenie współautorów w stosowaniu metod, zbieranie i zestawianie danych czy kierowanie instytucją, w której badania są prowadzone.*

Te i wiele innych rozstrzygnięć (np. rozmaite systemy punktacji dorobku) zmierzają do sformalizowania oceny osiągnięć badacza, tak by nabrała ona charakteru możliwie obiektywnego, choć obiektywizm ten – jak zawsze, gdy chodzi o ocenę jakości (a nie ilości) dokonań człowieka – jest wysoce dyskusyjny. W grę wchodzi bowiem zawsze kilka podstawowych kwestii: 1) czy słusznie badaczowi zostało przypisane autorstwo i 2) czy uzyskane wyniki niosą nowe ustalenia, czy też nie ma w nich niczego nowego, a są jedynie powtórzone własne (autoplgiat) lub cudze (plagiat) osiągnięcia. Jeśli zaś uzyskany rezultat naukowy jest rzeczywiście czymś nowym, to: 3) jaka jest ranga tego odkrycia, a w wypadku prac zespołowych 4) jaki jest wkład każdego z współtwórców w ten rezultat. Kształtowany przez wiele lat system merytorycznych i formalnych kontroli, nadzoru oraz wszechstronnych ocen jako podstawy rozwoju nauki i awansu jednostek ma w założeniu uchronić przed niebezpieczeństwem naukowych nadużyć i z jednej strony – chronić przed promowaniem hochsztaplerów i miernot, a z drugiej – dbać o docenienie roli i wysiłku intelektualnego wszystkich rzeczywistych twórców danego dzieła. Dotąd jednak nie dopracowano się systemu, w którym można by „wycenić” pomysł lub ideę będącą podstawą danego dzieła (nierazko gdzieś rzuconą mimochodem w kliku zdaniach), czasami nawet pochodzącą od osoby pominiętej w liście autorów [2]. Pojawilo się także pojęcie „duchowego autorstwa” (ang. *ghost authorship*), tj. takiego, w którym osoba biorąca udział w badaniach, analizie statystycznej i opracowaniu manuskryptu jest pomijana w wykazie autorów pracy [3].

Celem dalej przedstawianych rozważań jest refleksja nad tym, czy funkcjonujący system gwarantuje przynajmniej w dostatecznym stopniu ochronę przed rozwojem pseudonauki i mnożeniem pseudonaukowców. Impulsem, który skłonił nas do tych rozważań, była analiza dorobku naukowego przedstawionego przy okazji rozpoczęcia przewodu habilitacyjnego

przez czterdziestokilkuletniego lekarza, piastującego od kilku lat dość wysokie stanowisko administracyjne w służbie zdrowia. Z dość chaotycznie przedstawionych zestawień wynikało, że był on współautorem ok. 185 opublikowanych bądź czekających na publikację prac i doniesień, z czego ponad 180 pojawiło się w ciągu ostatnich 5 lat – tj. w okresie, od kiedy zaczął pełnić czasochłonne funkcje menedżerskie. W najbardziej „płodnym” roku jego nazwisko pojawiło się na liście autorów 96 prac i doniesień, czyli były one pisane ze średnią częstotliwością dwóch publikacji na tydzień. Prace te dotyczyły kilkunastu dziedzin medycyny klinicznej (zabiegowej i niezabiegowej), diagnostycznej oraz nauk podstawowych, często bardzo odległych od siebie. Był on jedynym autorem zaledwie 4 prac (2,3% pozycji dorobku), a w 6 następnych (3,5%) figuruje wraz z drugą osobą (2 współautorów). Pozostałe prace mają od 3 do 11 (sic!) współautorów (średnio 4,5). W tym dorobku można znaleźć 42 tzw. prace pogładowe i kazuistyczne (22,7%), przy czym nie jest on samodzielny autorem żadnej z nich, jedynie w 4 figuruje wraz z drugim współautorem, natomiast większość z nich ma 4 do 7 współautorów, w tym kazuistyczny opis firmowany aż przez 7 (sic!) współautorów. Jedynie 6 (3,2%) prac zostało opublikowanych za granicą.

Próba oceny patologii twórczości naukowej

Plaga „dopisywania się” do prac naukowych (tzn. współautorstwa bez spełnienia jego kryteriów) jest jedną z chorób środowiska naukowego, demoralizującą w mniejszym lub większym stopniu jego znaczną część. Dotyczy to zwłaszcza medycznych prac badawczych, w których łatwo nadużyć argumentu interdyscyplinarności i wieloprofilowego charakteru eksperymentów lub pomiarów. Natomiast w wypadku prac przeglądowych nawet takie uzasadnienie zbiorowego charakteru pracy jest trudne do utrzymania, a wieloosobowe artykuły przeglądowe już „z daleka” budzą podejrzenie wykorzystywania pracy intelektualnej głównego autora (niekoniecznie pierwszego) przez innych współautorów, a otwarcie mówiąc – zwykłego jej przywłaszczenia. Rzetelne napisanie pracy pogładowej jest bardzo żmudne i wymaga dużego doświadczenia fachowego w zestawieniu i krytycznej analizie starannie dobranego piśmiennictwa. Nadmiernie liczne prace pogładowe w dorobku naukowym dobrze ilustrują ogólniejszy problem sztucznego jego rozdymania tzw. pracami pogładowymi. Powstają one często wskutek inspiracji jakimś zdarzeniem czy rozmową, a później – bez dogłębnej wiedzy na dany temat – doczytywanych jest parę pozycji bibliograficznych (czasami tylko w Internecie), z których robione są streszczenia, następnie łączone w jedną, dość przypadkową treściowo całość, publikowaną jako nowa

pozycja bibliograficzna w jednym z licznych periodyków medycznych, często mających problem z pustawą teką redakcyjną (w skrajnych wypadkach jest to w istocie plagiatorstwo lub kompilatorstwo, metoda taka doczekała się już lekceważącego określenia *copy/paste*, a stosowanie jej udowodniono ostatnio jednej ze znanych publicystek krajowych). Dokładniejsza analiza treści kolejnych doniesień na określony temat wychodzących z jednej „stajni” często pozwala zauważyć powtarzające się fragmenty ocierające się o autoplagiat. Można to nazwać co najwyżej „dziennikarstwem naukowym”. Nasilenie tego zjawiska odróżnia periodyki naukowe o ustalonej renomie od tych, które takiej renomy nie mają i są skłonne drukować „makulaturę naukową”. W tych pierwszych publikacja pracy przeglądowej jest dowodem wysokiej rangi autora, gdyż tam prace przeglądowe podlegają najsurowszej ocenie kolegium redakcyjnego, w tych drugich przyjmuje się prace „jak leci”, zwłaszcza jeśli są to prace pogładowe, w których trudniej wykryć ewidentne błędy. Mamy także podejrzenie, że wiele z tych czasopism – „efemeryd” – utrzymuje się na rynku głównie dzięki kontraktom na reklamę i „zasyssa” każdą pracę pozwalającą przetrwać w obiegu nazywanym „naukowym”. Liczba rzeczywistych twórców nauki w Polsce jest przecież ograniczona i nie jest możliwe „obstuszenie” nadmiernie rozbudowanej listy czasopism, mieniących się naukowymi.

Kolejną sprawą, która nasuwa się przy analizie zestawień dorobku naukowego autorów podejrzewanych o nieuczciwe praktyki naukowe, jest niepokojąca „omnipotencja” medyczna – nadmiernie długa lista specjalności medycznych. Należy sobie zadać pytanie, czy taki autor zna się na wszystkim? W każdej dziedzinie ma coś do powiedzenia? Już sama nadmierna różnorodność tematyczna budzi wątpliwości co do faktycznego, merytorycznego udziału w większości prac, jakoby współtworzonych przez daną osobę. Niepokój musi budzić zwłaszcza okoliczność, gdy w dużej i tematycznie zróżnicowanej liczbie prac osoba taka figuruje w czołówce listy autorów. Praktyka Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej ds. Tytułów i Stopni Naukowych przy Prezesie Rady Ministrów RP wskazuje, że kolejność współautorów pracy powinna odzwierciedlać udział w jej tworzeniu, stąd m.in. wymóg posiadania w dorobku określonej liczby prac jako pierwszego współautora. Oznacza to, że w polskim obyczaju pisanie prac naukowych kolejność współautorów ma usankcjonowaną tradycję i odgrywa znaczącą rolę w ocenie dorobku.

Demoralizacja wynikająca z uprawiania i tolerowania takich praktyk stanowi bardzo poważne zagrożenie dla rozwoju nauk nie tylko medycznych. Jeśli takie niemoralne działania różnych prominentnych w środowisku osób (niekoniecznie z powodu wybitnych osiągnięć

badawczych) są dostrzegane i kularowo dyskutowane, nie jest to tylko marginalna kwestia dotycząca tego czy innego nieuczciwego pracownika. Takie osoby w swój demoralizujący proceder wciągają bowiem całe otoczenie. Współuczestnikami zafaszowania stają się Bogu ducha winni autorzy, do których prac dopisano nazwisko karierowicza. Cóż z tego bowiem, że niektórzy rzeczywiści współautorzy prac ozdobionych nazwiskiem takich prominentów mogą być oburzeni bezprawnie narzuconym „towarzystwem” na liście współtwórców. Znanie są nam przypadki, kiedy nazwiska różnych „dodatkowych” autorów są dopisywane bez wiedzy rzeczywistych twórców, już po akceptacji pierwotnego składu autorów i ostatecznej treści prac, których byli współautorami. Przy próbach wyjaśnienia okazuje się, że takie dodatkowe nazwiska są wstawiane na listę współautorów nie za udział w tworzeniu pracy, lecz w wyniku nacisków m.in. na tego z autorów, który dokonywał opracowania ostatecznej wersji redakcyjnej. A co mają robić autorzy, którzy pod taką czy inną presją wyrazili zgodę na dopisanie nazwiska rzekomego współautora? W jak niezręcznej sytuacji znajdują się ci, obok nazwiska których znalazło się nazwisko hochsztaplera! Jaka kłopotliwa sytuacja twórców prac doktorskich, dla których nieuprawnione dopisanie kolejnego nazwiska do publikowanych wyników rozprawy może prowadzić do postawienia zarzutu niesamodzielnosci przygotowanej dysertacji, a w konsekwencji zakwestionowania uzyskanego stopnia! Zgodnie bowiem z brzmieniem art. 13 ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki z dnia 14 marca 2003 r. (Dz. U. Nr 65, poz. 595): *rozprawa doktorska (...) powinna stanowić oryginalne rozwiązanie problemu naukowego (...) oraz wykazywać (...) umiejętność samodzielnego prowadzenia pracy naukowej (...)* przez doktoranta. Obawa przed konsekwencjami może skłaniać do milczenia i ukrywania takich praktyk.

Dodajmy do tego jeszcze jedną okoliczność, która stała się możliwa w naszym kraju po pojawieniu się niezależnych mediów, łasych na każdą ciekawą informację, także z kręgu nauki i medycyny. Osiągnięcia naukowe – obojętne, rzeczywiste czy „dopisywane” – stały się dobrą odskocznią do autopromocji i realizacji swoich pozamedycznych ambicji – uzyskiwania wpływów i popularności (niezbędnych, jak się okazuje, dla wielu przedstawicieli naszego środowiska). Dziennikarze na ogół nie mają kompetencji do sprawdzenia, czy dany naukowiec jest rzeczywistym twórcą idei badawczej, wykonawcą badań lub autorem tekstu, czy jedynie „dopisywanym” hochsztaplerem (usprawiedliwiającym swój rzekomy udział badawczy zasługami menedżersko-organizacyjnymi). Czy ten model „kariery naukowej” jest Polsce zupełnie incydentalny?

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy w Polsce jest wymóg niektórych redakcji krajowych periodyków naukowych akceptacji skierowania do druku maszynopisu pracy przez wszystkich przełożonych osób biorących udział w jej realizacji. Przecież prace naukowe tworzą, piszą i wysyłają do druku dorośli ludzie, odpowiedzialni prawnie i moralnie za swoje słowo, a redakcje naukowe zatrudniają kompetentnych recenzentów, których zadaniem jest ocena jakości i rzetelności merytorycznej nadsyłanych prac. Akceptacja taka bywa pretekstem do różnego rodzaju manipulacji i nacisków w zakresie składu i układu listy autorów oraz niejednokrotnie stanowi także narzędzie polityki kadrowej w danej jednostce. Dla najmłodszych pracowników naukowych bywa to okres niepokoju: jak wypadnę w tym rankingu? Czy takie stresy są potrzebne? Jest zrozumiałe, że współczesna nauka wymaga badań zbiorowych i wieloosobowych, ale nie kosztem zupełnego zatarcia indywidualnych zasług i współodpowiedzialności za wyniki poszczególnych i konkretnie wskazanych współtwórców.

Jak daleko odeszliśmy od zasad żartobliwie wygłoszonych przez Rudolfa Virchowa, który przy okazji dyskusji o zasadach publikacji w założonym przez siebie *Virchows Archiv* stwierdził: *W moim czasopiśmie każdy może zrobić z siebie durnia* (tzn. opublikować głupstwo, ale za które świadczy nazwiskiem).

Nasze przesłanie

Przygotowaliśmy powyższy tekst w jednym celu, a mianowicie: czy promowany ma być model nagłaśnianych szeroko odkryć, ale nierzadko dokonanych w co najmniej dwuznacznych moralnie i etycznie okolicznościach (czego światowym symbolem stał się ostatnio koreański naukowiec Woo Suk Hwang), którego przyjęcie skutkować musi upadkiem nie tylko naukowego autorytetu uczelni lub innej instytucji naukowej? Czy media – często niekompetentne – mają wyznaczać politykę naukową na określonych obszarach (m.in. poprzez kreowanie lub niszczenie pewnych postaci)? Czy też należy realizować tradycyjne w nauce akademickiej wartości: uczciwość, rzetelność, kompetencję, troskę o dobro pacjenta, odpowiedzialność? Wybór drogi rozwoju ośrodka badawczego lub akademickiego nie może być li tylko deklaracją werbalną, umieszczoną w pięknie brzmiącej preambule uczelnianego statutu.

Uważamy też, że dla całej polskiej nauki będzie korzystne, jeśli sprawa etyki naukowej będzie dyskutowana z podaniem konkretnych przykładów nierzetelności określonych naukowców, a nie jedynie w sferze spekulatywnych deklaracji i teoretycznych rozważań. Infor-

mujemy też, że tekst ten był konsultowany i dyskutowany z innymi profesorami (nie tylko z dziedzin medycznych), którzy wyrazili akceptację dla zasadniczych tez tego artykułu. Wszystkim niewymienionym z nazwiska dyskutantom dziękujemy za ich cenne myśli.

Mamy nadzieję, że zapoczątkowanie takiej dyskusji umożliwi z jednej strony rozprawę z nieuczciwymi pracownikami, a z drugiej zapewnienie systemowej, skutecznej ochrony, gwarantującej zwłaszcza młodym autorom bezpieczeństwo przed karierowiczami, żerującymi na cudzej pracy.

Chcielibyśmy także, aby nasz tekst skłonił władze instytucji akademickich i badawczych do pewnej refleksji. Nie można zapominać o nadzwyczajnej mobilności społecznej dzisiejszego młodego pokolenia. Akceptacja wyżej opisanych postaw i sposobów działania to informacja dla młodej kadry naukowej, że nie ceni się „czystej” aktywności badawczej, a zainteresowany podjęciem pracy musi się liczyć z tym, że na jego plecach, jego kosztem będą awansowali inni – bardziej sprytni i bardziej obrotliwi. Oznaczałoby to bowiem, że podstawą powodzenia zawodowego w instytucjach akademickich i badawczych są głównie talenty menedżerskie, autopromocja, umiejętność pozyskiwania środków na działalność, natomiast drugorzędnymi walorami są wysoka wiedza i kompetentna praca na polu medycyny oraz w obszarze dydaktyki. Czy taki ma być wzór pracownika naukowo-dydaktycznego i naukowego? Pytanie to nie jest figurą retoryczną, ale naszym zdaniem jest to prawdziwy problem, który dotyczy wielu polskich instytucji naukowych i akademickich. Podajemy pod rozważenie myśl wyrażoną przez Donalda Kennedy’ego, wybitnego badacza-genetyka, redaktora prestiżowego czasopisma naukowego *Science*: *Najistotniejsza jest reputacja instytucji o staranności (prowadzonych w niej) badań i o kulturze premijującej indywidualną odpowiedzialność za (etyczne zachowania i za) prawość w działaniach badawczo-poznawczych oraz o zniechęcaniu do „honorowych” autorstw. Znaczenie produktywności badawczej w decyzjach o nominacjach akademickich zaostrza współzawodnictwo naukowe. Bywa to pomocne w wypadku, jeśli zasady (panujące w) danej instytucji kładą nacisk na jakość, a nie na ilość (prac naukowych)* [4].

Piśmiennictwo

1. Uniform requirements for manuscripts submitted to biomedical journals. International Committee of Medical Journal Editors. *N Engl J Med* 1997; 336: 309-15.
2. *ORI Newsletter* 1994, Vol 3, No. 1.
3. Wager E. Authors, Ghosts, Damned Lies, and Statisticians. *PLoS Med* 2007; 4: e34.
4. Kennedy D. Reflections on a retraction. *Science* 2000; 289: 1137.